Dodatek tygodniowy do „Głosu Narodu“
do Nru 31.

DUSZA JAPONJI.

Na białej okładce w purpurze wschodzące słońce, a nad niem rzucona niedbale lekko zaróżowiona gałązka wiśni z pękiem śnieżnego kwiecia. Kwiat wiśni — godło Japonji. Więc też nic dziwnego, że tyłuł ciekawej książki brzmi: „Bashido — dusza Japonji“. Miejsce wydania — Tokjo, autor Inazo Nitobe, japończyk, który wielostronne wykształcenie europejskie odebrał nad Tamizą

Dziś, gdy szkarłatne słońce Wschodu rumieni nietylko gaje wiśniowe, lecz i połyskujący skrami oręż, gotowy do boju, warto jest może zajrzeć do tej „duszy Japonji“, którą rozbiera i odsłania zajmująca książka. Zresztą egzemplarz, który mamy przed sobą, posiada jeszcze jedną cechę wyjątkową i wyjątkowe polecenie. Oto na tytułowej karcie po angielsku (autor pisze w języku swoich wychowańców europejskich) znajdujemy następującą dedykację:

„Wielkiemu autorowi „Quo vadis“ tę małą książkę poświęca jako dowód podziwu

autor

Inazo Nitofe.

Tokio, 23-go czerwca 1903 r.“

Sienkiewicz czytał książkę i tak o niej powiada: „Bashido — to duch rycerski Japonji, który, wyrobiony przez rycerstwo, rozlał się po ostatnich ewolucjach na całe społeczeństwo. Jest to swojego rodzaju klucz do wojowniczej duszy Japonji, i dużo rzeczy można zrozumieć, zrozumiawszy, co jest Bashido“.

Tyle słów mistrza, a teraz zajrzyjmy sami do książki.

„Rycerskość — zaczyna jej autor — jest równie swojskiem kwieciem na glebie Japonji, jak kwiat wiśniowy, a znaleźć go można nietylko w zielnikach naszej historji“. Łatwo temu uwierzyć, zwłaszcza, gdy się widzi, jak w ciągu ostatnich lat dziesięciu ci ruchliwsi wyspiarze dalekiego Wschodu bronią swej powagi, z rycerskim animuszem sięgając co chwila ręką do boku. Ten animusz szewalerji japońskiej, to właśnie „Bashido“.

Ściślej mówiąc, jak objaśnia autor, Bu-shi-do oznacza kodeks rycerski, coś w rodzaju „noblesse oblige“ klasy rycerskiej, i jednoczy w sobie pojęcie „szlachectwa“, oraz „fantazji kawalerskiej“. Początku rycerstwa japońskiego autor każe szukać w Japonji feudalnej, starszej daleko od feudalnej Europy. W owych czasach powstała cała klasa profesjonalnych wojowników „samurai“ (knecht, knight), a z niej wybili się „buke“, albo „bushi“, uprzywilejowani rycerze.

Te same trzy gwiazdy, które przyświecały rycerzowi chrześcijańskiemu, a mianowicie: wiara, sława i lojalność, torowały również ścieżki „bushi“ japońskiemu. Przedewszystkiem buddyzm uczył go wiary w przeznaczenie, poddania się nieuniknionemu losowi, stoicyzmu wobec niebezpieczeństwa, pogardy życia i nieobawiania się śmierci. Szyntoizm dorzucił do tego głęboką lojalność wobec panującego, cześć dla pamięci przodków i nieograniczoną powagę rodziców. Zasługują na uwagę następujące słowa p. Nitobe, określające patrjotyzm i lojalność japończyka: „Dla nas kraj jest czemś więcej niż gruntem i glebą, z których dobywamy złoto, lub zbieramy ziarno; dla nas to święta ziemia bogów i duchów naszych przodków; dla nas panujący jest więcej niż arcy-konstablem „Rechtstaatu“ lub nawet opiekunem „Culturstaatu“, dla nas jest on wcieleniem nieba na ziemi, oślepiającem uosobieniem potęgi i łaski“.

Prawość jest wybitnym rysem rycerza japońskiego. „Busbi“ określa ją jako siłę decyzji. „Prawość — powiada — jest to zdolność decydowania o pewnem postępowaniu w zgodzie z rozumem, bez wahania; umrzeć należy, kiedy słusznem jest umrzeć; walczyć, kiedy słusznem jest walczyć“. Tak postępujący człowiek jest „gishi“ (sprawiedliwy). Nie zna on fałszu, ani „ruse de guerre“, uświęcanej przez najnowszą dyplomację oraz taktykę wojskową.

Pochodnią sprawiedliwości jest, zdaniem autora popularny w Japonji zdrowy rozum (gi-ri), dyktujący prawa i obowiązki wobec rodziców, panów i społeczeństwa. Giri w pojęciu ludu staje się tak silnym imperatywem, że popycha do spełnienia najcięższych obowiązków, a zwyrodniony oddaje jednych pod władzę drugich. W tej formie, jakkolwiek tkwią w nim pierwiastki i miłości i lojalności, otrzymuje on zabarwienie czysto wschodnie, gdy dziecko np. musi sprzedać swoją cześć dla spłacenia długu ojca lub poświęcić się dla pierworodnego.

Kształcenie „bushi“ rozpoczyna się od młodości. Śmiałość, odwaga, zuchwałość, fantazya — są to przymioty, które najwcześniej szczepione bywają w młodem pokoleniu. Odwagę określa Konfucjusz „jako czynienie tego, co jest słuszne“. Zgadza się to zatem z zasadniczemi rysami „bushi“ i „gishi“. W wyrobieniu odwagi u dzieci panuje w Japonji system ultraspartański, niemal okrutny. Rodzice przyuczają dzieci do znoszenia spokojnie bolu fizycznego i trenują do odpowiedniego znieczulenia nerwów. Odwiedzanie też publicznych placów, kaźni należy do ulubionych „spacerów“ młodzieży japońskiej. Dziś kara ścinania publicznego jest zniesiona w Japonji, gdy jednak istniała jeszcze, nietylko przyglądały się

tym okrutnym scenom małe dzieci, lecz nawet w nocy odwiedzały place i dotykały głów ściętych na dowód zuchwałej odwagi.

Jak gdyby wyczuł malarz „duszy japońskiej“, że odsłonił zbyt nago jeden z męskich, lecz też i brutalnych trochę jej zakątków, gdyż nagle odwraca kartę — i rysuje nam obraz innej cnoty rycerskiej — wspaniałomyślności. Nie ma rycerza bez tej cnoty, więc też i „bushi“ japoński jest wspaniałomyślny.

Oto obrazek, jak gdyby żywcem wzięty z rycerskiej epopei.

W r. 1184-ym w bitwie, pod Sumanonura, rycerz japoński rzucił do stóp swoich przeciwnika. W prochu z pod spadłego hełmu wyjrzała twarz śmiała, lecz młodzieńcza.

Bushi stanął zdumiony i, pomagając wstać zwyciężonemu, woła;

— Do boku matki, młody książe! Miecz Kumagaya nie zmaże się twoją krwią.

Blada twarz młodzieńca pokrywa się teraz rumieńcem dumy i oto pokonany błaga Kumagaya, by go dobił!

— Czy mam odejść z pola walki zwyciężony!? Raczej śmierć!

Następuje walka dumy rycerskiej i wspaniałomyślności. Zwycięża — litość, ta średniowieczna „misericordia“, której uosobieniem był miecz, zadający „coup de grâce..,

— Nieskończony, przyjm jego duszę! — woła bushi i godzi śmiertelnym ciosem w pierś młodzieńca.

Odtąd jednak Kumagaye spędza resztę dni swoich na pobożnych pielgrzymkach i odwraca wzrok od zachodu, gdzie leży raj, gdyż zbroczył swój miecz rycerski we krwi młodzieńczej.

Drugim rysem charakterystycznym „samurai“, zwykłego bojownika-szlachcica japońskiego, jest grzeczność. Jest ona wielce urozmaicona, czasem nader subtelna i oryginalna. Początek dobrych form wskazuje autor w „Chano-yu“ czyli ceremonjale picia herbaty. Stał się on dyscypliną dobrych manier i z niego urósł oryginalny „savoir vivre“ japońskiego bushi. Żałujemy mocno, iż nie możemy zanotować licznych przykładów grzeczności japońskiej, przytaczanej i umiejętnie analizowanej przez autora. Wypada nam jednak dalej streszczać zajmującą książkę.

Grzeczność staje czasami japończykowi na przeszkodzie prawdomówności. „Sumarai“ woli niekiedy prawdę „osłonić“, niż ją wypowiedzieć w całej nagości. Autor broni jednak swych współrodaków od zarzutu „fałszywości“ lub nawet oszukaństwa w handlu. „Bushi“ i „samurai“ nie umieją się zajmować handlem, od czasu zaś otwarcia portów wytworzyła się w Japonji klasa kupcom, których nauczycielami była — Europa i Ameryka, a specyalnie — John Bull i Wuj Sam. Niech ci odpowiadają za etykę handlu.

Honor i ambicja są nieodłącznymi towarzyszami rycerza. W tym też kierunku rozwija się całe wychowanie „bushi“. Poczucie honoru na gruncie szyntonizmu wytworzyło nawet osobliwszą instytucję, o której szerzej rozpisuje się autor. Jest nią „seppuku“ albo „kappuku„, albo jeszcze „hara-kiri. Wszystkie te wyrazy oznaczają dobrowolne samobójstwa przez rozprucie sobie brzucha w celu kary i ekspiacji. Ciekawe objaśnienia zamieszcza p. Juaso Nitobe celem objaśnienia tego osobliwego samobójstwa. Są one natury fizjologicznej i psychologicznej. Co do pierwszych notujemy, iż wedle pojęcia japończyka siedliskiem życia jest łono, jak u hellenów „frem“ i „thumos“. Co do drugich — szukać ich należy w nirwanie. Wstrząsający jest opis ceremonjału „seppuki“, brutalny, ale imponujący.

Z konieczności pobieżnie już przerzucamy dalsze kartki. Znajdujemy na nich opowieść o wykształceniu „bushi“, niezbyt bogatem, lecz praktycznem, a przedewszystkiem wojowniczem; wzmiankę o „adoptio per arma“ (wcielenie do obywatelstwa przez przypasanie broni), charakterystykę poczucia obowiązku, czasami tak jaskrawą, że europejczyk zrozumieć jej nie może; notatkę o usilnej pracy bushi celem panowania nad sobą (niektóre obrazy przypominają naszego ojca-szlachcica z dawnych czasów patrjarchalnych); wreszcie obszerniejszą wzmiankę o wychowaniu i stanowisku kobiety japońskiej, równie nieraz wojowniczej, jak jej ojcowie, bracia i mężowie. Do pełnego obrazu rycerza brakło tylko wzmianki o trubadurach, ale i o tem nie zapomniał autor, chociaż mówi daleko więcej o pieśni i muzyce, niż o kobiecie i miłości. Dla charakterystyki przytaczamy trójwiersz trubadura japońskiego, Uguisu, zwanego „słowikiem japońskim“, według przekładu angielskiego

„Rycerz groźną broń przywdziewa,
A Uguisu pieśń rozsiewa
Między wiśni kwietne drzewa“.

A teraz pytanie: czy bushi żyje jeszcze? Autor odpowiada, że tak, i że wywiera wielki wpływ na losy kraju. A jaki los czeka jego samego? I znów powiada p. Inazo Nitobe, że pod wpływem kultury zachodniej stanie się bushi z czasem tradycją, jednakże tradycją trwałą, która wsiąkła w krew narodu.

Zamykamy ciekawą książkę, wdzięczni mistrzowi naszej powieści, że nam ją włożył do ręki. Rzuca ona istotnie snop światła do nieznanej europejczykowi „duszy Japonji“, światła tem jaśniejszego i barwniejszego, że przefiltrowanego przez pryzmat kultury zachodniej i chrystjanizmu. Zaznaczyć jeszcze wypada, że autor jest wielkim erudytem i na każdej karcie zdradza wielostronne oczytanie i wykształcenie literackie. Niemniej stara się być możliwie objektywnym przy rozbiorze drgającej i żywej duszy swego narodu.

Edm. Bognanowicz.

Historja chłopczyka i dziewczynki.

Spotkali się na drożynie, biegnącej pomiędzy skałą a górskim potokiem; on miał lat dwanaście, a ona — dziesięć. Ścieżka była bardzo wąska, musieli przechodzić tuż obok siebie: mijając dziewczynkę, chłopczyk roześmiał się, ona mu zawtórowała, ale jako rozważniejsza, widząc całą niestosowność takiego zachowania rzekła:

— Przepraszam, ja się nie śmiałam z kawalera.

Chłopczyk zmieszał się i powtórzył: Przepraszam, i ja się nie śmiałem z panienki.

Znowu roześmiali się oboje.

— Pierwszy raz widzę kawalera — mówiła dziewczynka — choć bawimy tu z mamusią od tygodnia. Mieszkamy pod „Białym Łabędziem“. Czy i kawaler także?

— Nie ja jestem tu z ojcem i mieszkamy pod „Jeleniem“. Przyjechaliśmy wczoraj. Jak długo panienka tu zabawi?

— Nie wiem. Mamusia nic nie mówiła. A kawaler?

— Nie wiem. Tatuś nic nie mówił.

I znowu roześmiali się oboje — niewiadomo dla czego. Dzieciom to łatwo przychodzi.

Jakby za wspólnem porozumieniem, usiedli obok siebie na kamieniu u stóp skały i zamyślili się, patrząc na górę obrosłą lasem, po drugiej stronie potoku.

— Cieszę się, że spotkałam kawalera — rzekła po chwili dziewczynka. Będzie weselej. Moja mamusia często smutna, a tatusia wcale nie mam.

— Ja nie mam matki.

— Czy i ojciec kawalera smuci się?

— Często. Mówi nawet, że takie życie licha warte.

— Moja mamusia tego nie mówi, ale czasem powiada, że jej źle na świecie i że czuje się samotna.

W chwili tej dziewczyna zerwała się i klasnęła w rączki.

— Och: właśnie schodzi z góry moja mamusia.

Chłopczyk podniósł się i zawołał:

— Właśnie idzie pod górę mój tatuś!

* * *

W tydzień potem chłopczyk i dziewczynka siedzą na tym samym kamieniu u stóp skały.

— Jak to dobrze, żeśmy się spotkali — mówi dziewczynka, kładąc pulchne rączki na kolanach.

— Rad jestem — przyznaje łaskawie chłopczyk.

— Prawda, że nam dobrze razem?

— Prawda — zgadza się chłopczyk; po namyśle nie chce przyznać, że się dobrze bawi z dziewczynką, więc dodaje: byłoby lepiej, gdyby można grać w krokieta.

— Jest nas za mało. Chyba moja mamusia i tatuś kawalera zechcą do gry należeć, ale pewno nie zechcą.

— Pewno.

— Mówiłem tatusiowi, że mamusia panienki powiada, że jej źle na świecie i że jest samotna, a tatuś roześmiał się.

— Że też chłopcy nie umieją nigdy dochować sekretu! Nie trzeba było powtarzać.

— Dlaczego? — zdziwił się chłopczyk. — Przecież mi nikt nie powiedział, że to sekret. Zresztą, mój ojciec jest bardzo, bardzo dobry. Można mu zaufać. On nie powtórzy nikomu. Czy panienka gniewa się,

— N—nie, a może troszkę.

— Jeżeli tak, to i panienka może coś powtórzyć swojej mamie i powiedzieć, że mój ojciec mówił, że i jemu także źle na świecie i że on także czuje się samotny. Proszę to powtórzyć, a między nami będzie kwita.

Dziewczynka zaśmiała się, a po chwili oświadczyła:

— Dobrze — powtórzę.

W tydzień potem nasi mali przyjaciele — bo znajomość zamieniła się w przyjaźń — zmęczeni długą przechadzką, siedzą znowu na kamieniu pod skałą. Opodal w cieniu drzew siedzi druga para — starsza, ale to już należy do innej historyi.

Chłopak zbiera kamyki i ciska je w potok z całej siły.

— Twój ojciec zapewne rzuca dalej — odzywa się dziewczynka — od rana są już ze sobą na „ty“. Twój tatuś jest bardzo ładny — wczoraj dał mi pudełko cukierków, ale mama schowała pudełko — mówi, że mogłabym zjeść za dużo.

— Czy twoja mamusia łakoma? — pyta chłopiec.

Z oczu dziewczynki padają iskry.

Cóż znowu! — moja mamusia jest najlepszą mamusią na świecie.

— Przepraszam, nie chciałem obrazić — twoja mama jest bardzo ładna. Mówi to tatuś, a on jest znawca.

— Co to jest znawca?

— Taki, który wie, co ładne, a co brzydkie. Byłaś kiedy na wyścigach?

Byłam.

— Widziałaś sędziów na trybunie?

— Pokazywała mi mamusia.

— No, to są tacy znawcy od koni. Mój tatuś zna się także na koniach i bywał sędzią, ale słyszałem, jak mówili, że zna się także na tem, która kobieta ładna, a która brzydka, więc jeśli on powiedział, że twoja mamusia ładna, z pewnością tak jest.

Zaśmiali się, niewiadomo dlaczego i śmiali się serdecznie. Wtem dziewczynka spoważniała i spoglądając chłopczykowi prosto w oczy, rzekła:

— Powiedz mi, ale szczerze, czy twój tatuś jest dobry?

— Ma się rozumieć — zawołał, oburzony, że można o tem wątpić.

— Czy on się kiedy złości?

— Nie... bardzo rzadko.

— A czy chodzi do kościoła?

— Czasem, kiedy go babunia poprosi, ale częściej gra w tennisa.

— A jak się rozłości, czy długo się gniewa.

— Wykrzyczy się i znowu dobry. Ale, jak się gniewa, to zawsze wie o co.

— Ile twój tatuś ma lat?

— Trzydzieści dziewięć.

— A...

— Słuchaj, dlaczego ty jesteś taka ciekawa? — przerwał jej. Wszystkie dziewczyny jednakowe.

— Ja pytam nie z ciekawości, ale bądź spokojny, umiem dotrzymać sekretu. A ty czy potrafisz?

— Naturalnie, przecież jestem mężczyzną.

— Powiem ci prawdę. Kazała mi się zapytać — mama.

Chłopiec milczy. Jego myśl powolniejsza. Nie może zrozumieć odrazu.

— To nie ładnie z jej strony — powiada wreszcie — mój ojciec nie kazał mi się o nic pytać.

— No i cóż z tego? Gdyby chciał, mógłby tak samo.

— Ale nie chciał.

— Bo to widzisz, twój tatuś jest mężczyzną, a moja mamusia jest kobietą.

— Prawda, nie przyszło mi to na myśl. Powiedz, czy i mnie wolno... — zawahał się — czy mogę ciebie pytać, tak samo, jak ty mnie?

— Ma się rozumieć.

— A więc powiedz mi: ile twoja mamusia ma lat?

— Wiesz: to bardzo zabawne, obiecaj, że nikomu nie powiesz.

— Nikomu, tylko tatusiowi. Można?

— Jemu, to co innego, ale nikomu obcemu, bo mamie mogłoby być przykro. W zeszłym roku mamusia miała trzydzieści dwa lata, a w tym ma trzydzieści jeden. Prawda, jakie to dziwne?

— Prawda. A teraz powiedz mi, czy twoja mama złości się?

— Nie, cóż ci do głowy przychodzi?

— I nigdy nie krzyczy?

— Wiesz, żeś głupi. Kto słyszał, żeby kobieta krzyczała? To dobre dla mężczyzn.

— Więc może się gniewa?

— Czasem, na służbę, ale krótko.

— A czy bywa w złym humorze?

— Nie, ale bywa smutna.

— Czy chodzi do kościoła?

— O tak, co niedzielę, ale czasem...

Milczenie...

— Cóż... czasem?

— Czasem chodzi i na tennisa.

Śmieją się znowu, nie wiedząc dlaczego? Po chwili chłopiec oświadcza:

— Zdaje mi się, że to już wszystko. Czy mogę ojcu powtórzyć?

— Możesz; przecież i ja powtórzę mojej mamusi.

* * *

W tydzień potem nasza para przyjaciół siedzi znowu na kamieniu pod skałą. Oboje milczą. Zaszła w nich wielka zmiana.

— Chłopak kręci się. Wyjmuje scyzoryk i ostrzy go o kamień. Wreszcie chowa go do kieszeni.

— Słuchaj — zaczyna — mam ci coś powiedzieć.

— Czy co dobrego?

Dziewczynka, nie czekając odpowiedzi, obejmuje go za szyję jak gdyby się znali od bardzo dawna.

— Słucham — szepcze.

— Wiesz, ty zostaniesz moją siostrzyczką. Tatuś mi to wczoraj oznajmił.

Ona wybucha śmiechem.

— Jacy ci chłopcy niedomyślni! To ty czekałeś, aż ci ktoś powie? Ja o tem wiedziałam oddawna — sama z siebie.

HISTORJA MODY.

Sezon paryski w pełnym rozkwicie, magazyny mód wypuściły już w obieg „najnowsze nowości“ w zakresie sukien i w ważniejszym bodaj — dziale akcesoryj toaletowych; jubilerowie obmyślili już nowe fasony klamerek, pierścieni, dyademów: kuśnierze skombinowali najrozmaitsze futra, wytwarzając z nich barwne „potpourri“; słowem dostawcy, oraz ich piękna klientela, są w pełnym rynsztunku. Patrzcie, podziwiajcie i głoście na cztery strony świata o nowych pomysłach mody!

— Cóż jest noszone? — Wszystko, w czem mi do twarzy — odpowiada na to paryżanka z uśmiechem zadowolenia, bo nie wątpi, że jest jej do twarzy — we wszystkiem. To też krawcy muszą sobie łamać głowę, aby wytworzyć nie szablon, nie typ ogólny sukien; spacerowych, wieczorowych, balowych, lecz przynajmniej po kilkanaście wzorów wręcz odrębnych, a nawet sprzecznych ze sobą dla każdej z tych kategoryj. Wybredna klientka ma w główce jakiś ideał z tiulu, muślinu lub sukna! jeśli u swego „nadwornego“ krawca nie znajdzie czegoś w takim właśnie rodzaju, szuka dalej, bez skrupułu idzie do jego współzawodnika; chcąc uniknąć tych upokorzeń, właściciele magazynów starają się wyczerpać wszystkie zasoby fantazyi. Ta „szlachetna“ rywalizacya wytwarza „arcydzieła“ kunsztu krawieckiego, wsławiające firmy Laferriera, Douceta itp. Zrozpaczeni konkurenci, nie mogąc zaćmić, starają się przynajmniej ich naśladować i reprodukują „modele“, które jako dostępniejsze cenami, znajdują szerszy odbyt i stają się „modą“. Ale minęły już czasy, gdy pewne jej wzory obowiązywały wszystkich jak mundur; dziś w epoce subjektywizmu, nawet stroje „indywidualizują“ się coraz bardziej. Panie nie biorą już bezkrytycznie tego, co im podsuwa krawiec lub modystka, chcą rozstrzygać sprawy tualetowe w ostatniej instancyi. To też gdy z nastaniem jesieni pojawiają się pierwsze modele, najwięksi prorocy nie mogą powiedzieć; co się utrzyma do zimy, a co zostanie odrzuconem. Dziś dopiero można dać ogólny zarys toaletowych prądów.

Najdziwaczniejszym ich objawem jest — wywyższenie maluczkich, bo tak tylko można scharakteryzować nagły i niepojęty zachwyt dla pospolitego — kreta. Biedne stworzonka! Straszna wybiła dla nich godzina, miljonami trupów zaścielają pole swej chwały.

Już na wiosnę z miarodajnych sfer padł na nie wyrok śmierci. Przez kilka miesięcy zbierano materyał do przyszłych kreacyj mody. Za pomocą ogłoszeń dziennikarskich wzywano do tępienia kretów, obiecując po 20 centymów za skórkę. Rozpoczęły się łowy, które dostarczały Paryżowi po półtora do 2-ch miljonów skórek na miesiąc, a jeszcze za mało, gdy się weźmie pod uwagę drobny rozmiar zwierzątka, albowiem na sporządzenie kretowego żakietu trzeba z 6000 skórek, na mufkę 500; ponieważ krety są bardzo drobne i mają włos krótki, zwykłe szwy zaznaczyłyby się wyraźnie i mogłyby szpecić ogólny wygląd; na wszystko jednak znajdzie się rada, zatem każdą skórkę podszywają odpowiedniego koloru jedwabiem i z tych drobnych obdzierganych kawałków tworzą mufki i żakiety. Ale skutkiem właśnie kunsztownej roboty. cena futerka jest tak wysoką, że równa się niemal najdroższym i najszlachetniejszym futrom, więc doszło do tego, że przystrzyżone odpowiednio koty i króliki, naśladują podrzędniejsze od siebie stworzenia, co jest chyba faktem niebywałym w kronikach zoologji, również jak i mody,

Drugim wytycznym punktem są — suknie spacerowe. Zaszła w nich zmiana olbrzymia, zupełny przewrót, zapowiadający się już oddawna, przygotowywany przez hygienistów i lekarzy, zwalczany przez elegantki, lecz wreszcie przyjęty łaskawie; hasłem tej pokojowej rewolucyi jest okrzyk: „Precz z ogonem!“ Wyrugowano go zupełnie z ulicy, z ogrodów publicznych, gdzie czynił niezaszczytną konkurencyę — miotłom. Dzięki tej banicyi można oglądać piękne i zgrabnie obute nóżki. Tak długo byliśmy pozbawieni ich widoku!

Precz z nieprzyzwoitością! Takie hasło zapanowało wśród paryskiego towarzystwa. Słynne „cafés concerts“ muszą zamykać swe podwoje, szansonistka tłustych piosnek, Eugenja Buffet, pozostaje „bez dachu“; moralność zaczyna odnosić tryumfy na wszystkich placówkach. Zwrot w tym kierunku uczynił w teatrze Piotr Wolf swoją ostatnią sztuką „Le Secret de Polichinelle“ (znaną u nas p. t. „Tajemnica publiczna“); po raz pierwszy wziął w niej rozbrat z tradycyjnem na scenach francuskich wiarołomstwem małżeńskiem i pomimo to, a raczej dlatego właśnie, sztuka osiągnęła powodzenie olbrzymie. Wielkie teatry oddziałały w tym duchu na mniejsze — sztuka wpłynęła na „sztuczki“. I literatura zastosowała się do tej mody, czy też, jak wolimy przypuszczać, dała się unieść temu oczyszczającemu prądowi. Romanse, przedstawiające sytuacye, o których lepiej nie wiedzieć, przestały zalewać Paryż, pojawiają się już nie jak nawałnica, lecz jak ostatnie krople ulewy. Wobec zmniejszonego zapotrzebowania straciły racyę bytu, autorowie ich zwrócą może swe zdolności ku produkowaniu poczytniejszej obecnie literatury i z pornografów staną się moralistami — z konieczności. Tymczasem kobiety, przesycone już wiarołomstwem — bodaj w teorji — czytują o muzyce, o sztuce. Paryż domaga się nowej rozrywki, pożąda umiarkowanego realizmu i uśmiechniętej ironji, coś w rodzaju utworów Dickensa, przesianych przez francuskie sito. Pieprzna kuchnia literacka wypełniła podniebienia, żądają one mniej ostrych przypraw. Jak odpowiedzą na tę potrzebę — dostarczyciele rozrywek: publicyści, literaci i artyści — zobaczymy.

W dziedzinie sztuki teatralnej, Paryż nienasycony widowisk, zamiłowanie do sceny przelewa na artystów, nazywa ich po imieniu i przezwisku, cieszy się ich tryumfem; płacze z radości, gdy wstępują w związki małżeńskie, stają się ojcami lub matkami, drży z obawy, gdy się przeziębią i kaszlą, no, i chodzi ich oglądać we wszystkich rolach. Zamiłowanie do teatru staje się coraz żywszem. W wieczór wigilijny dochód wszystkich scen paryskich wyrażał się w cyfrze 260.000 fr., przewyższającej o wiele dochody lat poprzednich.

Publiczność wypełniła teatry szczelnie, tak jak po ukończeniu widowisk — wypełniła kościoły, jak po Pasterce, przepełniła restauracye. Pomnożenie się dochodów teatralnych i restauracyjnych są w ścisłym związku — oba mają źródło w radykalnej zmianie obyczajów. Towarzyskie życie w Paryżu upada coraz bardziej. Paryżanie sfer średnich spędzają czas wolny nie we własnych domach, ani też w domach swoich przyjaciół, lecz w kawiarniach i wszelakich jadłodajniach.

Zapraszają się wzajem na popołudniowe herbatki do kawiarni, jedzą ciastka, gwarzą, słuchają orkiestry, choć jej walce podnoszą znacznie cenę herbaty. Pewna kawiarnia przy bulwarach w ciągu dwóch miesięcy zarobiła 250.000 fr. za same ciastka z kremem. W jedno popołudnie wypito w niej 2.600 filiżanek herbaty. Między innemi wpływa na tę modę różnica przekonań politycznych, zaznaczająca się coraz wyraźniej w jednych i tych samych sferach, w jednych i tych samych rodzinach. Dysputy przechodzą w kłótnie i obrazy czynne: niejeden „five o'clock“, zamieniał się w „five á claques“.

Poglądy na proces Dreyfussa, a w następstwie na działalność p. Combes obaliły wiele przyjaźni, stały się powodem zerwania wielu związków rodzinnych. To też zebranie w domu prywatnym kółka znajomych jest rzeczą niesłychanie trudną i drażliwą: ci nie znoszą tamtych, tamci pokłócili się z owymi. Kogo wybrać, kogo pominąć? Przy najlepszych chęciach, przy największym takcie, kończy się zawsze czyjemś niezadowoleniem, jeśli już nie obrazą. A więc powoli przestano się zapraszać; niejeden bogaty człowiek sprzedał pałac, już nie potrzebny do większych przyjęć, wynajął mieszkanie tylko dla siebie i rodziny, i zaczyna żyć — po za domem. Chcąc widzieć się z pp. X. lub Y, pp. Z. umawiają się z nimi, i spotykają o 5-tej w kawiarni lub o 8-mej w restauracyi. Po obiedzie jadą razem do teatru i wieczór schodzi im przyjemnie, a choć koszt był duży, przyjęcie w domu kosztowałoby daleko drożej, wobec szerzącego się zbytku. Bale prywatne wydawane bywają tylko przez arystokrację lub plutokrację. Średnio zamożni, a nawet bogaci ludzie nie mogą sobie pozwolić na rozdawanie przy kotyljonach — już nie tekturowych odznaczeń, lecz kosztownych, artystycznych drobiazgów, — na zastawianie stołów cieplarnianemi roślinami, statuetkami z saskiej porcelany i całym rysztunkiem sreber nietylko starożytnych (które się ma po przodkach lub się je nabywa raz na zawsze),

lecz i zupełnie nowoczesnych (na które co lat parę moda się zmienia, zmuszając do coraz nowych wydatków). Z podarkami noworocznymi tak samo — dawniej posyłano sobie wzajem: drobne przedmioty lub cukierki, dziś przyjęte jest dawać przedmioty sztuki, rzadkie kwiaty, po 30 fr. gałązka, a jeśli cukierki, to tylko z pierwszorzędnych firm z ich etykietą, aby obdarzony wiedział, że ofiarodawca musiał zapłacić 25 fr. za funt. Nie chodzi o podarek, lecz o wydaną na niego sumę, jestto jakby haracz, nakładany na krewnych, znajomych, a zwłaszcza na kawalerów; muszą oni opłaaać się w ten sposób w każdym domu, gdzie bywają bodaj raz na rok.

Wobec takich wymagań, wiele osób — za pieniądze, któreby kosztowały te podarki, na Boże Narodzenie odbywają podróże. Słowem zbytek zabił towarzyskość. Przez oszczędność — ludzie chodzą do teatru, do restauracyj, wyjeżdżają na Rivierę — a koniec końców nudzą się po dawnemu.

Na szczęście, u nas inaczej.

E. Ż.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr Antoni Beaupré.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.